



Ryszard Bartoszewicz

część I z II

Sygnatura notacji: **N0528**

Data urodzenia: **27.10.1935 r.**

Data nagrania: **31.08.2023 r.**

Miejsce nagrania: **dom świadka, Gdynia, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Artur Kłus**

Czas nagrania: **część I: 55 min, część II: 52 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Ryszard Bartoszewicz: Nazywam się Ryszard Bartoszewicz, urodzony 27 października 1935 roku w majątku ziemskim mojego dziadka ze strony mamy, który znajdował się, ten majątek, w miejscowości Topiłówka pod Augustowem. Dzieciństwo do 1937 roku spędzałem u dziadka razem z moją mamą, Leokadią Bartoszewicz z domu Żyszków, i siostrą Lucyną, urodzoną dwa lata wcześniej. A po tym okresie mieszkaliśmy w miejscowości Raczki, to jest miejscowość między Augustowem a Suwałkami. Miasteczko nieduże. I w tym miasteczku moi rodzice, to znaczy, Leokadia Bartoszewicz z domu Żyszko, i ojciec Piotr Bartoszewicz prowadzili zakład krawiecki i sklep tekstylny. Ojciec zmarł w 1937 roku. I po śmierci mama prowadziła tę działalność przy pomocy swojego brata młodszego, Zygmunta. W 1939 roku po napaści Niemców na Rzeczpospolitą dziadek przyjechał i zabrał nas z tego miejsca zamieszkania w miejscowości Raczki do swojego majątku. I tam zamieszkaliśmy razem z dziadkiem do 1941 roku.

Artur Kłus: Gdzie to dokładnie było?

Ryszard Bartoszewicz: To było w 1937 roku. Wyjechaliśmy z miejscowości Raczki do miejscowości, w której był położony majątek dziadka. Dziadek był ziemianinem, miał około 100 hektarów, 100-hektarowe gospodarstwo, na którym gospodarzył od wielu lat.

Artur Kłus: W 1939 tam pojechaliście?

Ryszard Bartoszewicz: W 1939 roku. Po wybuchu wojny niemiecko-polskiej. Po 17 września 1939 roku, kiedy

bolszewicy napadli na Polskę, to w wyniku tej napaści tereny Augustowszczyzny przypadły sowietom. I Augustów należał do strefy bolszewickiej. Ponieważ dziadek był ziemianinem, to był od razu wciągnięty na listę osób niepożądanym, osób niebezpiecznym dla systemu bolszewickiego. I pamiętam, że pewnej nocy z tych ułamków pamięci, było to 20 czerwca 1941 roku. Przed północą NKWD zastukało do drzwi. Weszli do środka, było ich kilku enkawudzistów. I stwierdzili, że muszą dokonać rewizji broni, którą tutaj u dziadka rzekomo dziadek posiadał. A w głównej mierze uważano, że to mamy brat Zygmunt tę broń posiada. I w wyniku rewizji broni nie znaleziono, ale wujka Zygmunta aresztowano. W sąsiednim pokoju – to przypominam – leżał młodszy brat mamy i młodszy brat wujka Zygmunta, Witold. Więc on wsparty na łokciu, pyta enkawudzystę: „Towarzysz, ja tożę...” Czy mam przetłumaczyć to? Enkawudzista popatrzył na tego wujka i mówi do niego: „Da, ty tożę zabieraję”. No i aresztowano również wujka Witolda. Po aresztowaniu dwóch wujków, i z tej miejscowości jeszcze kilkanaście osób uważanych za wspomagających, czy partyzantów, czy ludzi przeciwnych systemowi bolszewickiemu, osadzono w Augustowie w baraku Zarządu Wodnego nad Kanałem Augustowskim. I to był rok 1941, 20 czerwiec. W następnym dniu, a w zasadzie w następną noc ta sama historia powtórzyła się, że przed północą zawitało NKWD. I nakazali w trybie jak najszybszym pozierać rzeczy najpotrzebniejsze, bo będziemy ewakuowani. Więc rodzina dziadka, to znaczy, dziadek urodzony – o ile pamiętam – w 1873 roku z babcią o kilkanaście lat młodszą, z ciotką Wandą, urodzoną chyba w 1924 roku, wujkiem Henrykiem, urodzonym w 1926 roku i ciotką Tadzią, urodzoną w 1929 roku oraz z moją mamą, urodzoną w 1906 roku i moją siostrą Lucyną, urodzoną w 1933 roku, załadowano na furmanki i zawieziono na dworzec stacji kolejowej w Augustowie. Tam załadowano do towarowych wagonów, upychając innych przywiezionych z różnych rejonów, z terenu całej Augustowszczyzny. I pamiętam, że to było z 21 na 22 czerwca 1941 roku. Transport w nocy, w granicach godziny 4–5 nad ranem ruszył z dworca w Augustowie. Okazało się, że w tym samym mniej więcej czasie Niemcy hitlerowskie napadły na swojego zaprzyjaźnionego Stalina, który był na czele Związku Sowieckiego. Więc transport, kilkadziesiąt wagonów, być może, że ponad tysiącosobowy skład w tych wagonach, pod nadzorem enkawudzistów stali przy każdym wagonie w takich specjalnych budkach ochronnych, ruszył w kierunku Grodna. Z Grodna, następnie Mińsk, Smoleńsk, i dalej na wschód. I na tej trasie lotnictwo niemieckie bombardowało nasz skład, tak że dochodziło do wypadków, zranienia i śmierci niektórych przewożonych osób. Była historia mianowicie taka, że przy przekraczaniu Niemna, most na Niemnie został zbombardowany. I istniała nadzieja albo obawa, że zostaniemy na tej stronie i nie przekroczy my rzeki. I to bombardowanie niemieckie trwało aż za Smoleńsk, tak jak front przesuwiał się. Oczywiście nasz transport jechał szybciej, niż przesuwiał się front niemiecki, tak że oddalaliśmy się od tego, od linii frontu. Wagony były zamknięte, zaryglowane i pod nadzorem, jak powiedziałem, enkawudzistów. I tak było na całej trasie. Pamiętam, że Europę przekraczaliśmy na linii Uralu, to znaczy gór. I co ciekawe, że nie przejeżdżaliśmy przez tunel, kolej nie prowadziła w tunelu, tylko w wyrębanych skałach. Trudno było dojrzeć wierzchołki gór, gdzie się ten wyręb górski rozpoczynał. I tak jak wywieziono nas 22 czerwca, to do miejscowości końcowej, którą była miejscowość Abakan, to było miasto, trudno powiedzieć, bo różne źródła, różnie tam podawały, kilkadziesiąt tysięcy mieszkańców. To było stare carskie miasto położone nad Jenisej i nad rzeką Abakan. I w tym Abakanie nastąpił koniec tej naszej pociągowej podróży. Wszystkich przewożonych, deportowanych Polaków rozdysponowano według określonego jakiegoś schematu. Część rodzin trafiła do kopalni węgla kamiennego, część do tajgi, a moja rodzina wraz z innymi, w sumie było 10 rodzin, zostało przewiezionych samochodami do kołchozu, który nosił nazwę Trudawik. To była miejscowość, wieś, inaczej derewnia [derewnia] Nowakursk, położona u podnóża Gór Sajańskich, w granicach 3–4 km od gór. Z jednej strony i z drugiej strony około 12 km od potężnej rzeki Jeni-

sej. Ta деревня Nowakursk to był kołchoz założony z zamożnych, dobrze prosperujących rolników rosyjskich, Skolektywizowanych w ramach przymusowej kolektywizacji po okresie rewolucji październikowej. Adres dokładny, gdzie nas osadzono, to jak powiedziałem: djerevnia Nowokursk, Chakasji, Włanonnaja Oblast, Biejski Rajon, Krasnojarski Kraj. Od Abakanu przejechaliśmy w granicach około 100 km do tego kołchozu, a z linii prostopadłej do Jenisej, to było, jak powiedziałem, w granicach 12 km. I to było w pierwszej połowie, dotarliśmy do tego kołchozu w pierwszej połowie lipca 1941 roku. Więc razem z nami przywieziono 9 innych rodzin, m.in. Obiedzińskich, Kotowskich, Prusków, Nowickich. I te rodziny, które zostały przywiezione na początku, to zamieszkiwaliśmy do 1946 roku, do momentu, kiedy nas wywieziono ze Związku Radzieckiego do Polski. Przez te prawie 5 lat działy się różne historie. Mieszkaliśmy początkowo, bo to był okres wakacji, w szkole, a później przez resztę tego okresu zamieszkiwaliśmy u kołchoźników. Ludność przeważnie rosyjska, chociaż to było na terenach Akasji, odnosiła się do Polaków serdecznie, życzliwie. Natomiast władza odnosiła się jak do wrogów. Okazało się, że pamiętali niektórzy okres 1920 roku i Piłsudskiego, który walczył z bolszewikami. Dorośli Polacy pracowali w kołchozie. Kołchoz był położony na terenach stepowych u podnóża Gór Sajańskich. To była równina, znakomita ziemia. Uprawiano pszenicę, owies, proso, buraki. W odróżnieniu od rolnictwa polskiego, tam nie stosowano ozimin. Bo zimy były niesamowicie mroźne, poniżej 40 stopni w okresie zimy, tak że nic by się tam nie utrzymało, to po prostu wymarzałoby. Zima trwała do marca, gdzieś od początku października, końca września. Różnie to było. Przepiękna pogoda w lecie. Jeżeli padał deszcz, to kilka razy, dosłownie w postaci niesamowitych ulew, tak że w ciągu kilkunastu minut ulicami tego kołchozu spływały olbrzymie masy wody. Kołchoz był położony w taki sposób, że był pochylony, tak że woda mogła spływać z wyższej partii w kierunku tego dołu. Praca Polaków trwała od wczesnych godzin do późnych godzin, bez należytego wynagrodzenia. Ja w 1944 roku poszedłem do szkoły rosyjskiej. Razem z siostrą, która wcześniej poszła, z tego tytułu, że była starsza ode mnie. Więc chodziłem do rosyjskiej szkoły do pierwszej klasy, a później do drugiej klasy, a siostra skończyła dwie klasy, chodziła do trzeciej klasy. I z tym zasobem wiedzy wróciliśmy w 1946 roku do kraju. W 1944 roku poszedłem do szkoły rosyjskiej. Oczywiście polskiej szkoły nie było. Siostra Lucyna, starsza ode mnie o 2 lata poszła wcześniej do szkoły. W sumie polskich dzieci, które chodziły do rosyjskiej szkoły, nie przekraczało 10 osób. Nauka w szkole, jak porównywałem później z polską szkołą, różniła się niesamowitą dyscypliną. Tam siedząc w ławce, nie można było rozmawiać, odwracać się, interesować się czymkolwiek, bo jeżeli nauczyciel, nauczycielka stwierdziła takie zachowanie, to zaraz była kara w postaci lania linijką po łapach albo po całym ciele. Tak że, jeżeli dzisiaj mówimy o jakichś tam dyscyplinach w szkole, to nie sposób porównać tej dyscypliny rosyjskiej szkoły z tego okresu z późniejszą szkołą w Polsce. Wspominałem o wrogości władz rosyjskich do Polaków. Przykład. Kiedy w 1941 roku przywieziono nas i wyładowano tam, gdzie popadło, to po jakimś czasie trzeba było zadbać o dzień normalny. Wiedzieć, gdzie się będzie mieszkało, co będzie się jadło, co się będzie robiło. Więc polscy przedstawiciele tych 10 rodzin udali się do tak zwanej władzy radzieckiej, która była w kołchozie w postaci sielsowietu. To był sielsowiet. To taki jakiś urząd polityczny, bo oprócz tego sielsowietu była władza administracyjna, która zarządzała kołchozem. No i oczywiście w trakcie rozmowy mama nas zabrała, bo uważała, że powinna się przez cały czas nie rozstawać do tego sielsowietu. Więc byłem świadkiem takiej rozmowy. I pamiętam jak mama na zakazy, eto nie nelzya, ero nie nelzya – to znaczy, niczego nie wolno – to to mama zwraca się do jednego z tych przedstawicieli i mówi: „Tovarishch, to ty nas ubij”. A on odwraca się i mówi: „Oł, durna baba, puli zhalost, sama padochniesz”. Więc tłumacząc, to wyglądało w ten sposób: „Durna baba, durna baba! Kuli żal, sama zdechniesz”. I tak by rzeczywiście było, gdyby nie to, że w 1941 roku został podpisany pakt Sikorski-Stalin. I ten stosunek wrogi władzy radzieckiej do Polaków chyba

z urzędu musiał być inny, bo można było zaobserwować różnicę w postępowaniu. Kołchoz, w którym byliśmy na początku 1941 roku, po naszym przybyciu do kołchozu, miał kilkaset koni, kilka tysięcy owiec, krów. I z roku na rok te stada ubywały, bo wszystko było wyrzynane i kierowane na front. W kołchozie pracowały tylko kobiety. I ci, którzy wracali z wojny rosyjsko-niemieckiej, ranni, po rekonwalescencji, pracowali w kołchozie. Po 1943 roku, kiedy Berling tworzył polską armię, po wyprowadzeniu armii przez generała Andersa, do tej armii został wcielony brat mojej mamy, Henryk, urodzony w 1926 roku. I po kilku miesiącach powrócił z powrotem na Syberię. Bez dwóch żeber, które utracił w szpitalu. Wycięto jemu te żebra, nie znam bliższych okoliczności, bo nie chciał na ten temat mówić, czy w wyniku jakichś ran odniesionych, czy w wyniku innej jakiejś przyczyny. No więc... Pracował również w kołchozie, zabierał mnie do pracy. I ja jeździłem w tak zwanego „gusia”. Na czym ta cała historia polegała? Więc na stepie rosła bardzo wysoka trawa. Ta trawa była koszona przez urządzenia napędzane dwoma parami koni. Więc jedna para, z tyłu druga para i te konie były zaprzężone do tej kosiarki, więc trzeba było kierować tymi końmi, więc ja jechałem na jednym koniu z przodu. I to się nazywało właśnie na zasadach „gusia”. To znaczy, tak jak gęsi dzikie odlatują, że zawsze jest na czele jeden z tych prowadzących, to ja byłem też tym gusiem, jadąc pierwszym koniem. Więc z tym wujkiem Henrykiem, który jeździł do ośrodka maszynowego położonego nad Jenisejem, a jak wspominałem, to była miejscowość oddalona około 12 kilometrów od kołchozu, jechało się tak na wprost, przez step. I tam pobieraliśmy smary, oleje do tych maszyn, do kombajnów, do kosiarek, którymi dysponował ten kołchoz. Jeździłem również z wujkiem w Góry Sajańskie, po drewno. Wspaniałe pasmo górskie, które przechodziło tam dalej na południe, aż w kierunku Himalajów. Więc w tych lasach były niedźwiedzie, a na stepie spotkać można było bardzo często wilki. Szczególnie w zimie stada wilków liczyły po kilkadziesiąt sztuk. Podchodziły pod kołchoz i zagrażały zwierzynie, która była chowana w określonych zabudowaniach. Więc pamiętam jeden atak wilków na bydło, które wracało w zimie z pastwiska. To nie jest pomyłka. Że w zimie wracało bydło z pastwiska, bo tam były takie warunki, że ta trawa, która wyrastała na stepie, w wyniku gwałtownego opadu śniegu, bo zima przychodziła bardzo szybko, śnieg przykrywał tę trawę i ta trawa później służyła temu bydłu za pożywienie. Bydło było nauczone, jak gdyby przyzwyczajone do tego, że rozgarniało kopytami śnieg i tę trawę wyjadało. No więc ten wujek Henryk pasał te krowy kołchoźników na stepie. I później trzeba było je z powrotem sprowadzić do poszczególnych właścicieli. Więc stado zatrzymało się na terenie szkolnym. I w tym czasie zostało zaatakowane przez stado wilków. Więc niesamowite wrażenie, jak na naszych oczach, owce były zagryzane przez wilki. Więc głód spowodował to, że traciły jak gdyby instynkt obrony przed człowiekiem, nie bały się. Bo głód zmuszał do różnych zachowań nie tylko zwierzęta, ale i ludzi. Za pracę w kołchozie otrzymywaliśmy niewielkie porcje chleba, więc pod koniec wojny chcieliśmy zatrzymać – pod koniec nie wojny, tylko pobytu w kołchozie – chcieliśmy zatrzymać ten chleb i przywieźć do kraju. Kiedy dowiedzieliśmy się, że istnieje szansa powrotu do Polski, to ten chleb rozkruszył się, bo był wyprodukowany z takich odpadków różnego rodzaju. Zielsko, które owocowało, było przesiewane zboże i z tego robiono chleb w ramach tej rekompensaty za pracę. Chciałbym jeszcze dodać, że kiedy nas wywożono w 1941 roku, w czerwcu, to ci enkawudziści, którzy przyjechali, żeby nas deportować, powiedzieli, żeby zabrać najpotrzebniejsze rzeczy. Jak wspominałem, że moi rodzice prowadzili zakład krawiecki i sklep tekstylny, to mama w ramach zabierania tych najpotrzebniejszych rzeczy, wzięła dwie czy trzy sztuki materiału niesprzedanego. I za ten materiał tam, na początku, w 1941 roku, od kołchoźników wykupiliśmy krowę. I ta krowa to była nasza żywicielka. Mieliliśmy własne mleko, choć na tę ośmioosobową rodzinę było to za mało, ale zawsze to było przynajmniej dla mnie i dla siostry. Z paszą nie było problemu, bo trawy było dookoła mnóstwo, tylko trzeba było ją skosić i dostarczyć. Oczywiście trzeba dodać, że żadnej opieki medycznej tam nie

było. Najbliższy lekarz, jaki mógłby być do dyspozycji, to znajdował się w miejscowości Abakan, oddalonej o około 100 km. Chciałbym tutaj dodać, że... W tej naszej derewni, inaczej wsi, mieszkało 10 rodzin polskich. Polskie rodziny również mieszkaly w miejscowości oddalonej około 12 km. Miejscowość nazywała się Sabinka. A następna miejscowość Bieja około 25 km od naszego kołchozu. I tak sytuacja trwała z roku na rok. Prasy polskiej nie otrzymywaliśmy. W kołchozie była linia tzw. kołchoźników, że informacje były podawane, te, które władza uznawała za stosowne, żeby przekazać kołchoźnikom. Kiedy skończyła się wojna, to informacja została przekazana przez te nagłaśniające elementy. I szkoła zorganizowała uroczystości na znak zakończenia wojny. Więc cała szkoła na czele ze sztandarem trzykrotnie obchodziliśmy kołchoz, śpiewając patriotyczne piosenki w języku rosyjskim na cześć zwycięstwa. Ale to była oficjalna jakaś postawa władzy. Bo zdarzały się przypadki, że kołchoźnicy, którzy pracowali na stepie przy pielenu, przy różnych pracach tych rolnych, dowiedziawszy się, że wojna się skończyła, to pamiętam taki przypadek: biegnie Rosjanka z motyczką, przebiega przez plac szkolny z okrzykiem: „Tovarishch, voyna zakończyła się, a kołchozy prapali”. Tłumacząc na język polski: „Towarzysze, wojna się skończyła, czy kołchozy zlikwidowano”. Więc te kołchozy to była zakata dnia codziennego dla tej całej rzeszy rosyjskich rodzin. Kiedy wyjeżdżaliśmy w 1946 roku, to oni, ci Rosjanie, żegnali nas ze łzami w oczach, bo wiedzieli o tym, że dla nas się skończyła ta poniewierka, natomiast oni zostaną na zawsze. Godzi się, żeby tutaj przypomnieć o jednym takim fragmencie, bo nie wiem, czy ta sprawa jest znana szerzej. Do naszego kołchozu, kiedy zbliżała się ofensywa niemiecka do Moskwy, to z terenów nadwołżańskich Niemców, których osadziła czy sprowadziła Katarzyna caryca, kiedy została władczynią Rosji, na urodzajną glebę nadwołżańską sprowadziła osadników niemieckich. I władza radziecka w obawie, że ci Niemcy będą kolaborować, ich tak samo deportowano i do naszego kołchozu przywieziono kilkanaście rodzin niemieckich. Na jakiś czas, a później wywieziono ich w kierunku Władywostoku, na daleki wschód. Więc ci Niemcy byli przekonani, że my wrócimy do kraju. Nie wiem, skąd to przekonanie było, natomiast oni do kraju nie wrócą. Ich traktowano też nieprzyjaźnie, bo uważano, że stanowią zagrożenie dla władzy radzieckiej. Rozmowy wśród społeczności polskiej na temat powrotu do kraju nabrały takiego większego znaczenia w 1945 roku. Więc wiedzieliśmy, że istnieje szansa powrotu do kraju. I takie główne jakby zaangażowanie zaistniało na wiosnę w 1946 roku. I w marcu 1946 roku zdecydowano o naszym powrocie, podstawiając samochody i przewożąc nas najpierw do Bieji, miejscowości oddalonej o 25 kilometrów od kołchozu, a później po kilku dniach przywieziono do Abakanu, do tej samej miejscowości, do tego samego miasta, w którym kończyliśmy w 1941 roku podróż z Polski. Nie wszyscy przeżyli. W mojej rodzinie zmarła babcia i tam pochowana została na cmentarzu. I jeszcze dwie czy trzy osoby z innych rodzin też zmarły. Pamiętam, że w Abakanie zjawiała się Wanda Wasilewska, tak przynajmniej zapamiętałem. To znaczy, przewodnicząca Związku Patriotów Polskich, który został zorganizowany chyba w 1943 roku, a ona była przewodniczącą tego związku. Więc w Rzeczypospolitej była uważana za osobę wrogą, a jeśli chodzi o Sybiraków, to dokładała wiele starań, żeby Polaków wywieźć ze Związku Radzieckiego, z powrotem do Polski. Co oczywiście się stało. Podróż powrotną rozpoczęliśmy w marcu 1946 roku. Trochę inną trasą niż w 1941 roku, deportacyjną, bo pamiętam, że na Syberię nie przewożono nas przez Moskwę, a w roku 1946 przy powrocie wracaliśmy przez Moskwę. Transport ten towarowy już nie miał ochrony enkawudzystów, tak że można było swobodnie otworzyć drzwi tego wagonu towarowego i patrzeć przed siebie. Ja całą podróż przesiedziałem przy otwartych drzwiach, obserwując tereny, po których przejeżdżaliśmy. I pamiętam, na dworcu w Moskwie, to był dworzec jakiś towarowy, więc był tak zanieczyszczony fekaliami żołnierzy wracających z frontu, że coś okropnego. Więc w Moskwie byliśmy trzy dni, więc ci Polacy dorośli zwiedzali Moskwę, bo nie było ograniczeń. I wróciliśmy do Brześcia. W Brześciu nas wyładowano. Wówczas

w drodze powrotnej przekonaliśmy się, gdzie jest granica nowej Rzeczypospolitej. Jak wspomniałem, nie wszyscy wrócili do kraju. Zmarła babcia, tam pochowana. A od 1941 do 1944 czy 1945 roku nie wiedzieliśmy, co się stało z tymi dwoma wujkami mamy – braćmi Zygmuntem i Witoldem. Okazuje się, że po aresztowaniu i osadzeniu w zarządzie kanałowym w Augustowie, kiedy rozpoczęła się wojna hitlerowsko-stalinowska, to grupy enkawudzistów likwidowały wszystkich zatrzymanych. Więc w zarządzie kanałowym zrobiono to, co im rozkazano. Wymordowali prawie wszystkich zatrzymanych. Więc między innymi ten młodszy brat mamy Witold zginął, zastrzelony, a Zygmunt, starszy brat mamy, przeżył. Więc jeszcze kilka osób przeżyło. I o tej śmierci wujka dowiedzieliśmy się dopiero w 1945 roku. Mimo że wujek Zygmunt po wyjściu na wolność z tego zarządu kanałowego, wrócił do majątku i pisał. Ale napisał wprost. Więc okazało się, że wszystkie listy, które były wysyłane, były zatrzymywane przez cenzurę. Dopiero jak napisał po kilku miesiącach, że po naszym wyjeździe Witek zmarł, to cenzura już nie zwróciła uwagi, nie kojarzyła wcześniejszych treści. I pozwolili, że ten list dotarł na Syberię. Po powrocie w 1946 roku zamieszkaliśmy w majątku dziadka, a później mama z siostrą przeprowadziła się do Augustowa, do swojego krewnego, z którym prowadziła przed wojną interesy handlowe. Ja po ukończeniu szkoły podstawowej, poszedłem do gimnazjum chemicznego w Łodzi, które ukończyłem w 1952 roku, a w 1953 roku zostałem wcielony do wojska. To znaczy, poszedłem na ochotnika do Oficerskiej Szkoły Samochodowej w Pile, którą ukończyłem w 1958 roku. Po ukończeniu szkoły oficerskiej, zostałem przydzielony do marynarki, do jednostki technicznej, a w 1962 roku rozpocząłem studia w Wojskowej Akademii Technicznej w Warszawie na Wydziale Mechanicznym. Wojskową Akademię ukończyłem w 1967 roku. Wróciłem z powrotem do marynarki, zajmując stanowiska techniczne w dowództwie Marynarki Wojennej, do emerytury. W tym czasie, kiedy młody człowiek, młody organizm potrzebuje dobrego odżywiania, wypoczynku, to byliśmy tego pozbawieni. Pamiętam zdarzenie. Na stepie na wiosnę wyrastały różnego rodzaju rośliny cebulowe i taka jedna roślina, którą nazywaliśmy chlebieńki. Kopaliśmy te chlebieńki z ziemi, wykopywaliśmy i zjadaliśmy. I widocznie przeszarżowałem, tak że trzy dni byłem nieprzytomny. Jak się później okazało, to mama już była przekonana, że ja umrę z tego wycieńczenia. Bo oprócz tych chlebieńki, to był okres krótki, trwający kilka tygodni, a normalnie czym się można było odżywiać? Na porządku dziennym to była komosa. Nie wiem, czy panowie znacie tę nazwę rośliny? Takie zielsko – komosa, bylica, szczaw. Na stepie rosła, jak wspomniałem poprzednio, bardzo gęsta i wysoka trawa. I w tej trawie rosły poziomki. Poziomki tak duże, jak nasze małe truskawki, więc chodziliśmy zbierać te poziomki, żeby mieć co jeść. W góry Sajańskie chodziliśmy po porzeczkach, a kiedy mrozy zapadły, kiedy mrozy przyszły, to zbieraliśmy czeremchę. Czeremcha była jadalna, bo to był inny gatunek niż czeremcha, którą spotyka się w Polsce. A oprócz tego, czym się odżywialiśmy? Trzeba się było jakoś zabezpieczać. Więc chodziliśmy na powtórne wykopki, na te kołchozowe tereny po ściętych zbożach, zbieraliśmy kłosa, kłosa pszeniczne, kłosa z innych zbóż do toreb i później to ziarno było wyluskiwane i na powietrzu było czyszczone z plew. I w ten sposób gromadzone ziarno do spożycia. Oprócz tego chodziliśmy na kartofliska, więc mimo że były zbierane te owoce, te plony, to zawsze kopiąc jeszcze raz, zdarzało się znaleźć ziemniak, który był pieczołowicie zabezpieczony. Ziemniaki były tak znakomitych upraw, że można je było brać, jak drewno naręcze. Więc wystarczy jeden taki ziemniak znaleziony. To było coś znaczącego. Dzisiaj, z perspektywy lat trudno jest zrozumieć, że przez trzy lata człowiek nie jadł chleba normalnego i mógł przetrwać. Dzięki głodówce, jaką prowadzili Polacy, to ci, którzy przyjechali na Syberię z chorobami żołądka, mieli wyleczone te swoje schorzenia przez głód.